



arch. Piotr M. Glegoła
architekt IARP

Efekt motyla

„Uważamy za oczywiste te oto prawdy, że wszyscy ludzie stworzeni równymi, że są obdarzeni przez swego Stwórcę pewnymi prawami, które nie są do odstąpienia; że do praw tych należą: Życie, Wolność i dążenie do szczęścia...”

Jakim sposobem Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych z 1776 roku mogła spowodować w moim życiu „efekt motyla”? Prawie niemożliwe, a jednak...

Postanowiłem zrobić życiową rewolucję i znaleźć nowe, kolejne miejsce do życia.

Początkowo, zadufany w swoje doświadczenie postawiłem fachowo pytania: Co powinno być najważniejsze przy wyborze „nowego”: dom czy mieszkanie? Gdzie? Może pod miastem? Duże? Małe? Wynająć? Kupić? itd. Odpowiedzi postanowiłem oprzeć na logicznej analizie wynikającej z własnych doświadczeń życiowych, akurat bogatych, bo różnych „miejsc do życia” było u mnie kilkanaście. I tutaj problemy zaczęły się mnożyć jak króliki.

Rozważania zacząłem od mieszkania **na tzw. rynku wtórnym**, który niby tańszy, ale przecież pełen mankamentów i co gorsza złych wspomnień. Dajmy na to – Osiedle Wierzbno (pierwsze elementy wielkogabarytowe z lat 60.) dla mnie odpada absolutnie z powodu licznych tam pokoi w amfiladzie. Bliska Wola też odpada, bo owszem, wolny rzut dzięki „ramie H”, to skrajny funkcjonalizm, ale też minimalizm rozmiarów. Kiedy rysowałem tam studenckie projekty, nie musiałem sprawdzać zapotrzebowania na miejsce w Neufertie – wystarczyło zmierzyć je z natury. Może zaciekawi Was kto docenił te atuty? Otóż po latach znalazłem za wycieraczką samochodu ulotkę ze zdjęciem grupki wesołych pielęgniarek podpisaną znanym mi adresem i numerem telefonu – nie była to jednak reklama przychodni zdrowia...

Otóż to! Dlaczego tak często myślimy, że hasło „szczęście” jest zarezerwowane tylko dla poetów, filozofów, scenarzystów brazylijskich oper mydlanych i finalistek Miss World? To właśnie jest ważne! Uświadomiłem sobie, że wolę małe w „klimatycznym” miejscu, aby mieć czas korzystać z życia i że jest to ważniejsze niż posiadanie ogromnego własnego apartamentu.

Dalej – Mokotów, w okolicach Poła Mokotowskiego – otoczenie piękne, ale wysokość mieszkania 2,49 m, balkon o wąskości 0,8 m na 4,2 m, oraz brakujące 2 cm, aby wstawić

w łazience normalną wannę. Muranów również niechętnie – w kawalerce o powierzchni 21,3 m², zrealizowałem swój najciekawszy projekt wnętrzarski. W kuchni o wymiarach 151 x 152 cm zaprojektowałem (i sam zrealizowałem) program: kuchenka gazowa czteropalnikowa, pralka, lodówka, zlewozmywak, blat roboczy 90 x 60 cm i cała masa szafek oraz okap.

Przyjemne wspomnienia obudziło w mojej głowie lokum przy pewnej cichej i spokojnej uliczce – Rue Théodule Ribot w Paryżu. Wystarczyło przejść kawałek w cieniu platanów Boulevard de Courcelles, aby dojść do Place des Ternes... Och! te ostrzygi w Brasserie La Lorraine... Potem tylko kawałek spacerkiem, aby stanąć pod L'arc de Triomphe. Mieszkając w tym lokum (trudno je było nazwać mieszkaniem czy nawet pokojem, bo miało jakieś 5,5... może 6 m²), byłem dwóch rzeczy pewien – umywalka na korytarzu pamiętała czasy Napoleona, a na tak piękny i duży kominiek z czasu Dyktoriatu nigdy nie będzie mnie stać.

Następnie w malutkim studiu (ale większym niż „lokum”) przy placu Martyrologii w Clichy poznałem moc akustyki – dzięki oknom otwartym na studnię tej starej kamienicy a następnie na obwodnicę, każdy samochód, który po niej mknął, jechał jakby po moim suficie.

Daleki Mokotów, po powrocie z Francji, też dobrze nie nastrajał – poznałem tam, co to znaczy brak wentylacji w pokojach i źle „przewietrzana elewacja”. Może Ursynów? Niby rozkład super, ale na zewnątrz... trauma psychiczna, mogącą konkurować z japońskim horrorem i cieszę się, że trwało to tylko 4 lata. Zdziwiła mnie np., że drzewo, które stało pod moim oknem – właśnie „stało” bo abso-

lutnie nie rosło (przez te cztery lata nawet o centymetr), mimo że co roku miało nawet kilkanaście liści.

Mój mały romans z Żoliborzem pod opieką konserwatora zabytków uświadomił mi, co znaczyło tanie modernistyczne budownictwo dla robotników. Słyszałem doskonale i wyraźnie wszystkie grające od 6-tej rano radia moich wiekowych sąsiadek. Szkoda tylko, że nie nastawione na tę samą stację. Dzięki mieszkaniu na Ochocie z lat 50. dowiedziałem się, co znaczy napis HWDP (ewentualnie CHWDP).

Na starej Ochocie skusiłem się nasłonecznieniem mieszkania z trzech stron świata i wysokością kondygnacji, ale wygonił mnie stamtąd po dwóch latach brak windy. Za Zielonymi Włochami też nie przepadam – od trzech lat usiłuję ustawić meble i nie potrafię, bo łóżko można postawić tylko w jednym miejscu, mimo kilkudziesięciu metrów powierzchni. Tyle rynek wtórny.

Nieśmiałe próby skorzystania z **rynku pierwotnego**, czyli dewelopera, skończyły się podwójną refleksją. Albo mam za niskie ceny moich usług, skoro nie stać mnie na to, co mi się podoba, albo jestem jakiś dziwny. Dlaczego dziwny? Bo nie chcę mieszkać w forticy otoczonej murem, kratami, PIN-ami, wideofonami i szlabanami. Na dodatek pozbawionej sklepów i ogólnodostępnych miejsc parkingowych (deweloperom to się przecież nie opłaca), więc odwiedzający mnie znajomi, musieliby parkować na sąsiednim osiedlu.

Doświadczenia z domem miałem równie traumatyczne. Mój pierwszy dom na przedmieściach był super (sam go zaprojektowałem), póki nie trzeba było rano pojechać „do miasta” i być punktualnym. Sąsiedzi wstawali o 4.30, aby zdążyć przed korkami, co oznaczało, że przed pracą podrzucali dzieci do teściów

lub rodziców, aby te dosypiając, doczekały do normalnej godziny, kiedy już można iść do szkoły na ósmą.

Następny dom stał 12 minut od centrum, ale ukazał z kolei urok mieszkania na trzech kondygnacjach – projektantów, którzy coś takiego projektują powinno się przymusowo przesiedlać do takich właśnie budynków.

Odkurzanie 200 m² było rytuałem, na który czekałem z wątpliwym upodobaniem. Przychodził weekend, ale nie można było nigdzie wyskoczyć, bo trzeba było zreperować to i owo. No i w kółko te przeklęte liście. Ogródek był ładny, czasami nawet oglądałem go przez okno, jeśli zdążyłem wyjść lub wrócić do domu, kiedy było już albo jeszcze widno. Korzystałem z niego średnio dwa razy w roku – gdy trzeba było jesienią zgrabić liście i kiedy na wiosnę trzeba było zgrabić te liście, których nie zgrabiłem jesienią. I jeszcze odśnieżanie. Zimą budziłem się o 6.15 i patrzyłem, czy prószy. Jak ja się cieszyłem, że to nie jest narożna działka. A dziecko w samochodzie siedzi w kurteczce, poci się bidulek i czeka, bo lekcje zaczynają się już za 28 minut, za 27, 26... Wtedy to zostałem mistrzem kierownicy krótkich odcinków i lokalnych objazdów – a najgorsze: jak z takim wzorcem ojcowskim, mam teraz pozwolić zrobić prawo jazdy synowi, który za 2 tygodnie skończy 18 lat?

Jak widać efekt analizy był sumą ciężkich doświadczeń. Każda lokalizacja, rodzaj budynku i rozkład miały mankamenty. Postanowiłem z tych porażek wyłuskać to, co właściwie jest najważniejsze, poszukać uniwersalnej reguły. I właśnie wtedy przypomniało mi się „prawo... dążenia do szczęścia”. Dokument ten już dawno mnie fascynował. Wyobraźcie sobie, że w 1776 roku zebrało się 53 sygnatariuszy (jak by nie było samych poważnych

i dorosłych ludzi), którzy w jednym z najważniejszych dokumentów współczesnego świata, już na samym jego początku, sformułowali coś tak niepoważnego jak „prawo (...) dążenia do szczęścia”! Te pozostałe hasła rozumiem – „wolność”, a szczególnie „prawo do życia” – one zawsze były, są i będą na tapecie każdej rewolucji, w jakiegokolwiek by sprawie wybuchła. Ale szczęście?

Zajrzałem do Konstytucji 3 Maja – nikt tam takimi bzdurami jak szczęście się nie zajmował. Chociaż (tak mi przyszło teraz do głowy) może właśnie dlatego utracono ją już po czterech latach? Tymczasem Konstytucja Stanów Zjednoczonych – z 22 poprawkami – obowiązuje do dzisiaj. Otóż to! Dlaczego tak często myślimy, że hasło „szczęście” jest zarezerwowane tylko dla poetów, filozofów, scenarzystów brazylijskich oper mydlanych i finalistek Miss World?

Efekt zmodyfikowania mojego mieszkaniowego rankingu i rachunku sumienia pod kątem doznawania szczęścia był zadziwiający – tym bardziej byłem szczęśliwy, im mniejsze było moje mieszkanie oraz im mniej byłem z nim związany formą własności. Zrozumiałem, że najszczęśliwszy byłem w małym, wynajętym mieszkanku w Paryżu. Oczywiście dla ówczesnego paryskiego szczęścia główne znaczenie miały otoczenie i klimat miejsca, podobnie jak czas potrzebny aby dojechać do pracy i z powrotem. To właśnie jest ważne! Uświadomiłem sobie, że wolę małe w „klimatycznym” miejscu, aby mieć czas korzystać z życia i że jest to ważniejsze niż posiadanie ogromnego własnego apartamentu.

Następstwo moich rozważań jest oczywiste... Muszę kończyć, bo chcę zrobić zdjęcie paszportowe... Och, te ostrzygi! – I co? Czyż nie jest to „efekt motyla”?